

Łączniczka z AK

Maria Krzyżańska z Poznania, wiceprezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu „Wielkopolska” jest skromna. Trudno ją namówić na okupacyjne wspomnienia o czasach, kiedy była łączniczką w piotrzkowskim oddziale Kedywu kapitana „Morusa” – Hilarego Moraczewskiego. - Nie uważam, żebym zrobiła coś takiego nadzwyczajnego, o czym warto pisać. W tamtej wojnie brało udział wielu naprawdę dzielnych Polaków - ja byłam tylko małym pionkiem w szeregach Armii Krajowej. Nie uważam, żebym się jakoś specjalnie zasłużyła.

Młodziutka łączniczka przenosiła rozkazy, broń, prowadziła nasłuch radiowy, przeprowadzała ludzi ukrywających się przed gestapo z jednej kryjówki do innej. Dom, w którym mieszkała z rodzicami i siostrami w Piotrkowie Trybunalskim był punktem kontaktowym Armii Krajowej. Nad tym, że w razie dekonspiracji groziła jej śmierć Maria Krzyżańska przemyka się bez rozczulania się; wspomni jedynie, że była aresztowana po ogólnej wysypie AK w Piotrkowie Trybunalskim, że później wraz ze starszą siostrą Ewą musiały się ukrywać aż do końca wojny. Przecież tak należało postępować, takie zasady wyniosła z domu.



Kilkuletnia Maria

Na wysiedleniu

Maria Krzyżańska, z domu Mikołajczak, urodziła się w zamożnej i szanowanej gnieźnieńskiej rodzinie. Rodzice posiadali dwie drogerie i hurtownię paliw. Ojciec był działaczem Stronnictwa Narodowego. W Gnieźnie endecja była silna, a jej członkowie wzajemnie się wspierali. Maria ukończyła sześcioklasową szkołę prywatną, zdażyła jeszcze zaliczyć dwie klasy Gimnazjum im. Błogosławionej Jolanty w Gnieźnie. We wrześniu 1939 r. rodzina Mikołajczaków zebrała trochę dobytku i ruszyła w kierunku Warszawy. Po długiej tułaczce i klęsce wrześniowej wrócili. Kilka dni później, gdzieś pod koniec października, ojca Łucjana Mikołajczaka z innymi obywatelami miasta aresztowano jako zakładników. Kiedy siedział w więzieniu przy Rynku w Gnieźnie, do ich firmy wkroczył treuhänder, żeby zarekwirować drogerie.

- Ojca zwolnili wieczorem, a już nazajutrz przyszli nas wysiedlać. Jeśli dobrze pamiętam był 11 listopada 1939 roku. Siedzieliśmy przy śniadaniu, kiedy do mieszkania weszło kilku folksdojczów. To było pierwsze wysiedlenie w Gnieźnie i jedno z pierwszych w Wielkopolsce. Dali nam kwadrans, ale czegośmy nie dotknęli nie pozwalali zabrać - nawet pościeli. Ojciec był wybuchowy, strasznie się zdenerwował i wypalił do jednego z nich, bo go znał: - Ty niemiecki parobku, żarłeś polski chleb, a teraz się wysługujesz Niemcom. Nic mu za to nie zrobili. Na ulicy czekała ciężarówka. Nie wiedzieliśmy co nas czeka, czy nas wywiozą do obozu czy zastrzelą.

Po miesięcznym pobycie w gnieźnieńskim obozie rodzinę Mikołajczaków wysiedlono do Piotrkowa Trybunalskiego. Na początku mieszkali kątem u wdowy. Maria kontynuowała naukę na tajnym nauczaniu, ukończyła gimnazjum i dwie klasy liceum, zdała maturę.

- Moich nauczycieli wspominam z wielkim szacunkiem, naprawdę się sprawdzili. Dla bezpieczeństwa każda lekcja odbywała się w innym domu. Bardzo się starali, uczyli nas



Zdjęcie zrobione krótko po wojnie

narazając życie. Teraz nas stawia się za przykład, ale byliśmy młode, nie znowuż takie święte. Jednego dnia poszliśmy sobie – jakby nigdy nic - na węgry. Kiedy się spotykam z przyjaciółką z tamtego okresu, zawsze wspominamy, jakie byliśmy niezdolne i głupie. Ale młodość ma swoje prawa. Urządziliśmy nawet studniówkę, muzykę „puszczałyśmy” z patefonu zarekwirowanego z niemieckiego kina. Do dzisiaj go mam.

Akowska przysięga

Pierwszą przysięgę – razem ze starszą siostrą Ewą - złożyła jeszcze w Narodowych Siłach Zbrojnych. Organizacja działała niemrawo, nie otrzymywały żadnych poleceń, nie organizowano akcji przeciwko okupantowi.

- Myśmy się rwały do działania - szczególnie Ewa. Wkrótce spotkała człowieka, który po jakimś czasie wciągnął ją do konspiracji. To był Hilary Moraczewski, ps. „Morus” - komendant Kedywu na Inspektorat Piotrków Trybunalski. Siostra kierowała łącznością konspiracyjną kobiet i pracą kancelarii Kedywu Sztabu Dywersji „Sad” w Piotrkowie. Mnie także włączono do konspiracji. To już była Armia Krajowa. W grudniu 1942 roku przysięgę odebrał ode mnie Henryk Krzyżański, ps. „Stefan” – mój przyszły mąż. W pokoju panował półmrok, tworząc tajemniczą, romantyczną atmosferę. Było nas cztery, może pięć dziewcząt i wszystkie byłyśmy jednakowo przejęte.

Dom rodziców już wcześniej był punktem kontaktowym, ojciec też działał w akowskiej konspiracji, z czym się specjalnie przed córkami nie zdradzał. Ich mieszkanie, do którego prowadziły dwa wyjścia, z dużym podwórzem, gdzie zajeżdżały wozy z prowiantem dla Akowców, było idealnie położone.

- Rodzice radzili sobie jak mogli, prowadzili sklepik spożywczy. Na ladzie stał kosz z jajkami, mamusia weszła i chciała zabrać kilka na kolację, natknęła się na ukryte tam pistolety. Prawie zemdląła. Ale dzie lnie to zniosła, odłożyła jajka i wyszła. Dopiero wtedy się zorientowała, co się naprawdę

w domu dzieje. Wkrótce po drugiej stronie schodów zwolniło się mieszkanie, nam było ciasno w piątkę, więc je zajęliśmy. Tam właśnie odbywały się narady i odprawy piotrkowskiego Kedywu.

Do obowiązków młodej łączniczki należała obsługa punktu kontaktowego, pomoc siostrze w pracach kancelarii, nasłuch radiowy, pisanie rozkazów na zrzutowej miniaturowej maszynie do pisania, dostarczanie wiadomości i listów. W Kedywie nie bawiono się w ulotki, za to w izbie naprzeciwko zbierał się sąd wojskowy, który wydawał wyroki na zdrajców, skazano m.in. kilku szczególnie okrutnych granatowych policjantów, szefa urzędu zatrudnienia, konfidenta gestapo.

Najtrudniejsze chwile

Wsypa nastąpiła w maju 1944 r. Mikołajczakowie musieli zniknąć: ojciec z Ewą wyjechali do Warszawy, Marię umieszczono w majątku pod Piotrkowem, matka z Ireną pojechały do Radomia. Po jakimś czasie sytuacja nieco się uspokoiła, rodzice z najmłodszą siostrą wrócili do Piotrkowa. Ojciec ciężko zachorował i - mimo najlepszej opieki trzech łódzkich chirurgów – wkrótce zmarł. Po Powstaniu Warszawskim do ich mieszkania napływali uchodźcy. Konspiracja konspiracją, ale potrzebującym trzeba było pomóc. Dom był więc podwójnie obciążony. Wcześniej, bo w lipcu 1944 r. w Mokrej zawiązał się 25. pułk piechoty AK, żołnierze stanęli do walki w akcji „Burza”. Z frontu wschodniego napływały optymistyczne informacje, przez co zakonspirowanie jakby zelżało, co okazało się brzemienne w skutkach.

- Kiedy w październiku 1944 r. gestapo przyszło nas aresztować, po drugiej stronie nocował Henryk Krzyżański. Potem opowiadał, że przeżył najtrudniejsze chwile w życiu. Bił się z myślami, czekać czy uderzyć z jednym pistoletem? Nie miał szans, a atak mógł sprowadzić śmierć na wszystkich mieszkańców. Dziwne, ale gestapo nie przeprowadziło rewizji w mieszkaniu, w którym było pełno obciążających materiałów.



Maria i Henryk pobrali się w 1946 r.

Siostry przewieziono do aresztu gestapo w Piotrkowie. Gestapowiec Ślązak prowadził Marię z przesłuchania i szepnął: - Jeśli masz jej coś do przekazania - mów. W kilku słowach powiedziała Ewie, co zeznała w śledztwie. To je uratowało, poza tym szły w zaparte i do niczego się nie przyznawały. Kiedy po trzech dniach je wypuszczono, nie mogły uwierzyć w swoje szczęście do tego stopnia, że Maria widząc na ulicy niemiecki samochód chciała do niego wsiąść. Całą rodzinę, jako uchodźców z powstania, przerzucono do Rawy Mazowieckiej. A tam znów wsypa, kontakt spalony. Pomógł przypadkowo spotkany ksiądz. Po jakimś czasie matka z Ireną wróciły do Piotrkowa, Ewa z Marią wyjechały do Wolborza.

- Mieszkałyśmy z jakimiś staruszkami w chacie za wsią, żeby nie wzbudzać podejrzeń w ogóle nie wychodziłyśmy. Nie pamiętam, co robiłyśmy, chyba całe dni graliśmy w brydża. Henryk był z nami, ale wyjechał po mianowaniu go na kwatermistrza 25. pułku. Wtedy na kwatermistrzów brano najlepszych, bo jak potrzebny był cukier – to się go zdobywało, jak skóra – zatrzymywało samochód, brakowało pieniędzy - z pistoletami szli do banku. Na święta Bożego Narodzenia Henryk pojechał do Piotrkowa odwiedzić ciężko chorą matkę. I wpadł. Pomyśleć, że 17 stycznia 1945 roku Niemcy opuścili miasto, a jeszcze w grudniu go aresztowali i nieludzko skatowali. Nigdy do tego nie wracał, raz tylko wspomniał, że trudno wytrzymać z masce gazowej bez powietrza.

Niedobitki i maruderzy

Z piotrkowskiej siedziby gestapo przewieziono go do więzienia. Zachował się jeden jedyny gryps, w którym domagał się: „Przyślijcie mi gnata, bo chcemy się uwolnić stąd.” Więźniowie broni nie mogli się doczekać, więc wyrwali nogi od stołu i rozbroili strażników, ale ci zdążyli powiadomić gestapo. Wywieziono ich do stacji w Piotrkowie i wsadzono w pociąg. W czasie nalotu sowieckich samolotów pod Koluszkami, uciekli.

Henryk wrócił do Piotrkowa, a potem lasami przedostał się do Wolborza, gdzie czekała na niego Maria. Wcześniej z siostrą przeżyły niejedną chwilę grozy. Wojna dobiegała końca, a do chaty w Wolborzu zachodzili na zmianę - raz niemieckie, raz rosyjskie - niedobitki i maruderzy.

- Jednego dnia przybłąkali się Niemcy z frontu francuskiego. Jeden z żołnierzy kazał nam się zamknąć w izbie, sam położył się w poprzek tarasując drzwi. Rano już ich nie było, za nimi na horyzoncie pokazali się Rosjanie. Najpierw pojawił się jeden – obraz nędzy i rozpaczy: obdarty, karabin uwiązany na sznurku, na nogach łapcie, jak przyszli inni, to ich przegonił. Potem do okna zapukał zabiedzony Niemiec, pytał o „Brot”, ale my nie miałyśmy żadnego chleba. Wróg, bo wróg, ale było mi go żal.

Około 18 stycznia 1945 r. wrócili już z Henrykiem do Piotrkowa. Ewa z Henrykiem pojechali do Gniezna zająć ich przedwojenne mieszkanie. Kilka dni później przyszli ubecy aresztować Marię. Pytali o Marię Mikołajczak, poszła więc matka, także Maria. Na miejscu stwierdzili, że nie o nią chodzi. Zamieszanie trwało kilka dni. Tymczasem Maria na próżno szukała pomocy, prosiła znajomych, żeby ją przechowali. Nie zgodzili się, oddali tylko pistolet „Morusa”, który schowała w skrzyni z piaskiem, wyszła na ulicę i została aresztowana. Młodej łączniczce na ogół nie brakowało rezonu, ale kiedy zobaczyła w więzieniu same Niemki i pijanych ubeków, serce w niej upadło.

- Mój widok bardzo ich ucieszył. Zaczęłam okropnie wrzeszczeć i awanturować się, aż pojawił się komendant Maksymiuk – tak się chyba nazywał. Powiedziałam, że jestem Polką, boję się tam zostać, bo mnie zgwałcą. Zaczął mnie przesłuchiwać, bardzo dużo wiedział o AK, o Henryku, Hilarym, znał pseudonimy, nazwiska. Komendant stwierdził, że jednak musi mnie zatrzymać, no to znowu zaczęłam się awanturować. Zachował się jednak przyzwoicie, przydzielił żołnierza, który



Kapitan Henryk Krzyżański, ps. „Stefan”, „Ptak”

mnie przyprowadzał na przesłuchania. Trwało to dwa dni, a potem mnie puścili wolno.

Ubeckie naloty

Do Gniezna wróciła w lutym 1945 r. Rodzina odzyskała drogerię i mieszkanie. Jeden sklep prowadziła Maria, drugi matka z Ewą. Wojna się skończyła, jednak spokoju nie było. UB urządzał rewizje i naloty. W 1953 r. wpadli do mieszkania, wymachiwali pistoletami, zaczęli przeglądać książki strona po stronie, przeszukali każdy kąt, aresztowali Henryka Krzyżańskiego. Prawdopodobnie trafili do Krzyżańskich za Kazimierzem Załęskim „Bończą”, dowódcą Oddziału Partyzanckiego „Bończa”, później 2. kompanii 25 p.p., który ukrywał się u nich przez kilka tygodni.

W 1946 roku Henryk i Maria pobrali się, prowadzili drogerię, a Maria Krzyżańska zapisała się na studia w Akademii Handlowej w Poznaniu. W 1951 r. kiedy zabrano im drogerię, została księgową w rozlewni piwa, następnie w Zjednoczeniu Przemysłu Terenowego i Motoryzacyjnego w Gnieźnie. Z czasem przenieśli się do Poznania. Na początku lat 70. aż do emerytury w 1981r. pracowała w zakładach „Tarpan” w Poznaniu. Pod koniec lat 70. mąż ciężko zachorował.

- Nie mogłam uwierzyć, przecież był szalenie wysportowany; grał w koszykówkę, siatkówkę, tenisa, jeździł na nartach. Lekarz stwierdził, że odezwały się skutki tamtego pobicia na gestapo. Otrzymał rentę inwalidzką wojenną. Zmarł 18 maja 1979 roku. Bardzo mi go brakuje...

W 1989 r. nastąpiła wolna Polska, o którą walczyli żołnierze Armii Krajowej. Akowcy utworzyli swoją organizację Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej. Marii Krzyżańskiej nie mogło w nim zabraknąć.

- W poznańskiej siedzibie związku był już Felek Słomczyński z 25. pułku AK. Zaraz mnie „wrobili” w komisję weryfikacyjną. Nie byłam jeszcze przyjęta, a już byłam

członkiem komisji. To była trudna rola, skomplikowane sprawy do sprawdzenia. Nie chcę o tym mówić.

Od wielu lat z namaszczenia prezesa Stefana Ignaszaka - jest wiceprezesem Okręgu „Wielkopolska” ŚZZAK. Ludzie przychodzą do niej ze swoimi sprawami, proszą pomoc. Czasem się zżyma, ale jeśli tylko może, pomaga. Jej pasją są tworzone przy szkołach Koła Przyjaciół Armii Krajowej.

- My odchodzimy po kolei na Wieczną Wartę - mówi. Teraz nasza nadzieja w tym, że o Polskim Państwie Podziemnym i Armii Krajowej pamiętać będą przyszłe pokolenia. Cała nasza nadzieja w młodzieży.

*** Kapitan Maria Krzyżańska urodziła się 15 listopada 1924 roku w Gnieźnie. Ojciec Łucjan Mikołajczak z matką Marią z domu Jaroszevska prowadzili drogerie i hurtownię paliw i oleju „Vakum Oil Company”. Ukończyła ekonomię na ówczesnej Akademii Handlowej w Poznaniu. Współautorka wielu książek. Na rozkaz podziwianej przez nią generał Zawackiej wyszukiwała dane do biogramów do „Słownika Kobiet Odznaczonych VM”. Zebrała notki biograficzne o 500 kobietach do kartoteki Memoriału w Toruniu. Od lat walczy o upamiętnienie zasług Wielkopolanek, walczących w szeregach AK. Zgromadziła około 60 fotografii kobiet - żołnierzy, na podstawie których Agnieszka Łuczak i Aleksandra Pietrowicz napisały książkę „Dziewczyny z AK – Wielkopolanki”. Z odznaczeń ceni najbardziej Brązowy Krzyż Zasługi z mieczami, który dowódca Hilary Moraczewski „Morus” wręczył jej na ślubie. Otrzymała także Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Partyzancki. Na wniosek gen. Zawackiej przyznano jej „Medal Pro Memoria”.**